

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno - literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzy

Kwestja morska w Polsce przedrozbiorowej

ZA ZYGMUNTA AUGUSTA

Flaga polska ukazała się na Bałtyku po raz pierwszy podczas wojny o Inflanty za Zygmunta Augusta. Miał on przeciw sobie koalicję Moskwy i Szwecji. Sprzymierzył się wprawdzie z Danją i z Lubeką, a więc państwami morskimi, ale równocześnie dążył do stworzenia własnej floty, gdyż dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że chcąc utrzymać Inflanty, musi stworzyć siłę zbroijną na morzu. Zresztą pojmował też znaczenie Bałtyku dla Polski.

Przyjął tedy w swą służbę kilka statków prywatnych, należących do t. zw. frejbitów — wyraz jest pochodzenia holenderskiego — vrijbiter i oznacza właściwie korsarza, trzeba jednak pamiętać, że korsarstwo było formą wojny morskiej, o ile tylko uprawiano je za zezwoleniem pewnego państwa przeciw jego nieprzyjaciół. Na czele eskadry stanął Michał Figenau. Mimo jej sprawności i dzielności wojna zaczęła się od niepowodzeń, ponieważ Danja i Lubeka nie poparły dostatecznie podjętej akcji. Dalszy pomyślny obrót wojny zawdzięczała Polska głównie wojskom lądowym.

Na konferencji pokojowej w Szczecinie przyszło do ugody między państwami morskimi. Polskę reprezentowali na niej Kromer i Solikowski, który w pismach swych pozostawił dowód, że w pełni oceniał wagę morza dla Polski i budowy floty. Niestety, takie poglądy były udziałem tylko wyjątkowo światłych jednostek, a ogół nie przejmował się bynajmniej niekorzystnym wynikiem konferencji szczecińskiej.

ZATARG Z GDAŃSKIEM

Podstawą prób stworzenia floty była Ryga, ufortyfikowana przez Zygmunta Augusta na jego osobisty koszt. Gdańsk patrzył na to z niezadowoleniem, a przeciwko flocie ośmielił się nawet zaprotestować, twierdząc, że szkodzi ona jego handlowi, narażając miasto na represje. Lecz nie skończyło się na protestach. Gdańsk dopuścił się krwawego bezprawia, ścinając głowy kilkunastu królewskim marynarzom. Była to zbrodnia, bardzo słabo upozorowana komedią sądu, bo i umotywowanie wyroku go nie usprawiedliwiało i ofiary nie podlegały jurysdykcji Gdańska.

Rozgniewał się Zygmunt August i wystąpił do niesfornego miasta komisję śledczą, ale jej nie wpuszczono. Wówczas król kazał uwięzić posłów gdańskich i narzucił ostatecznie statut, przyznający Polsce pewne prawa w porcie i ograniczający swobody miasta. Całą tę sprawę prowadził z wielką stanowczością, nie odpuszczając przedstawicieli Gdańska do dysputy nad swymi uprawnieniami.

WOJNA BATOREGO Z GDAŃSKIEM

Harde miasto poddało się na razie woli monarszej, ale czekało tylko sposobności, aby otwarcie wystąpić przeciw Polsce. Skorzystało tedy z rozdzielenia podczas elekcji r. 1576 i uznało królem nie Stefana Batorego, lecz cesarza Maksymiljana, za którym był senat Rzeczypospolitej.

Wojna, jaka wynikła z tego zuchwałości, toczyła się głównie na lądzie. Atoli metody walki, zastosowane przez Batorego, miały znamienity charakter i nie straciły do dziś dnia aktualności. — Przedewszystkiem wzbrocił król wywozu zboża przez port gdański, następnie zaś postanowił przenieść eksport polski do Elbląga i przemysliwał o zmianie biegu Wisły. Byłoby już wówczas zaszczyt, co obecnie, gdyby nie pomoc, jaką gdańszczanie uzyskali od Danji, której flota zniszczyła Elbląg.

Znamienna była instrukcja królewska dla sejmików, mówiąca o mieszkańcach Gdańska jako o „ludziach zuchwałych, a wszystkim Rzeczypospolitej nieprzyjaciółach jawnych“ i zarzucająca im m. i., że chcieli, aby „król i korona do portu nie mieli nic i ludzi swych na morzu nie miewali“.

Ostatecznie Gdańsk wyczerpał się finansowo, a Stefan Batory zaszachowany został przez Moskwę, zadowolili się tedy upokorzeniem się miasta, potwierdzając mu przywileje i udzielając amnestii, ale zapewniając sobie wzajemną polowę opłat portowych.

ZYGMUNT III I KAROL SUDERMANSKI

Nie rozumiał zagadnień morskich Zygmunt III, ale potrzebował floty do walki o koronę szwedzką. W pierwszej wyprawie (dla objęcia tronu tamtejszego) posługiwał się statkami szwedzkimi, lichymi i źle zaopatrzonymi. Druga wyprawa (w r. 1598) miała już charakter wojenny. Zasiłek, jakiego udzielił królowi sejm, poszedł po części na wynajęcie 60 okrętów. Była to jednak właściwie flota samego Zygmunta czy Szwecji i sprawował nad nią dowództwo szwedzki admirał Stenno Banner.

Już w czasie pierwszej wyprawy burza wyrzuciła była Zygmunta z morza, a znaczne straty. Tym razem zniszczyła mu zgórą połowę statków, które poszły na dno z załogą. Wyładowało zaledwie 800 żołnierzy pod dowództwem dzielnego Fahrensbacha, który pobił Karola Sudermańskiego pod Stegeborgiem. Zygmunt jednak nie pozwolił mu wyzyskać zwycięstwa, a nazajutrz flota Karola otoczyła okręty Zygmunta i zdobyła je, rozstrzygając tym sposobem walkę i Zygmunt wrócił do Polski z niedobitkami na statkach szwedzkich na podstawie upokarzającego układu.

PODZAS WOJNY Z GUSTAWEM ADOLFEM

Zygmunt III musiał chwilowo zrezygnować z odzyskania korony szwedzkiej, ale się jej nie wyrzekł. W takim stanie rzeczy tkwiły poważne niebezpieczeństwa dla Polski. Okazało się to, gdy po nieudolnym Karolu IX nastąpił rzutki i przedsiębiorczy, a wybitnie uzdolniony jako wódz Gustaw Adolf. Wydarł Polsce Inflanty, a potem przeniósł wojnę na teren Prus Królewskich.

Wreszcie zrozumiał Zygmunt konieczność stworzenia floty. Przyjął do służby doświadczonego Szkota Jakóba Murray'a i w r. 1622 puszczono na morze pierwszy żaglowiec polski — tj. pierw-

szy samoistnie zbudowany.

W roku następnym bawił król w Gdańsku. Przy tej sposobności polecił skonfiskować w porcie kilka obcych okrętów handlowych i przemienić je na wojenne. Czynne były również warsztaty w Pucku. W ciągu trzech lat wyszło z nich 6 nowych statków.

W r. 1626 wygłosił zawieszenie broni z Gustawem Adolfem. Zrazu wystąpił on do boju z taką potęgą morską, że flota polska nie mogła mu się przeciwstawić. Dziewięć największych okrętów nieprzyjacielskich zamknęło port gdański, żądając od miasta wydania dział i okrętów. Lecz Gdańsk zaczynał już rozumieć, że tylko związek z Polską rokuje mu szczęśliwą przyszłość, i wytrwał w wierności.

Tymczasem mianowany przez Zygmunta admirałem Arndt Dickmann z Lubeki rozpoczął działania. Za mierzeją Helu schwytał pięć nowych okrętów — trzy holenderskie i dwa rostockie, — których Szwedzi używali jako przewozowych. Wzmogła się flota polska i czelnie i odegrała decydującą rolę przy oblężeniu Pucka, zmuszając swem ostrzeżeniem miasto do kapitulacji (w kwietniu 1627). W listopadzie tegoż roku stoczono bitwę morską pod Oliwą. Szwedzi mieli przewagę jakości (6 wielkich statków, co najmniej po 30 armat każdy), Polacy liczby (10 statków). Bój był zacięty i trwał około dwóch godzin. — Z obu stron poległ admirałowie. Wogóle zwycięstwo polskie drogo okupiono, ale było stanowcze. Wpadł w nasze ręce okręt admirałski nieprzyjaciela z 38 działami, dwóch kapitanów i 70 jeńców, nie licząc rannych. Dwie bandery szwedzkie i szpada poległego admira. Stiernskjolda odesłano do Warszawy. Bitwę uwiecznił na płótnie gdański malarz Milwitz i warto obraz ten obejrzeć w starym ratuszu gdańskim.

Punkt ciężkości wojny spoczywał na operacjach na lądzie, gdzie Gustaw Adolf trafił na godnego przeciwnika w hetmanie Koniecpolskim. Lecz nowopowstała flota polska dokuczała Szwedom. W lipcu r. 1628 Gustaw Adolf zaskoczył okręty nasze u ujścia Wisły i dwa z nich, „Tygrysa“ i „Św. Jerzego“ zatopił ogniem działowym. Natomiast we wrześniu tego roku zdobyto szwedzki okręt admirałski „Krystynę“, który osiadł na mieliźnie koło Helu. Dostało się do niewoli dwóch kapitanów, wzięto też 19 armat.

Wnet jednak skończyły się samodzielne operacje floty polskiej. Poddano ją pod dowództwo cesarskiego admirała i siedm naszych okrętów wysłano do Wismaru, gdzie pozostały mimo żądań zwrotu, aby w r. 1632 wpaść wraz z miastem i portem w ręce Szwedów.

ZA WŁADYSŁAWA IV.

Najlepiej zdawał sobie sprawę z zagadnień morskich Władysław IV. Myślał on o wznowieniu wojny ze Szwedami i pertraktował nawet z Hiszpanją, ażeby wysłała swą flotę na Bałtyk. — Zresztą już w paktach konwentach zobowiązał się do budowy okrętów.

Zaraz po ukończeniu zwycięskiej wojny moskiewskiej polecił budowę fortów lądowych i morskich znakomitym inżynierom Fryderykowi Gethantowi i Eljaszowi Arciszewskiemu. Pierwszy z nich, z pochodzenia Niemiec, ale spolszczony, zyskał przydomek polskiego Archimedesza. Wykonał on cały szereg robót (między innymi obwarował Kudak i Lwów), sporządził też atlas z planami Tczewa, Grudziądza, Pucka, Malborka i t. d. Arciszewski — brat sławniejszego Krzysztofa — posiadał doświadczenie, wyniesione z Ameryki Południowej i znał się wybornie na budowie okrętów.

Pierwotnie myślano o budowie portu w Pucku, ale badania wstępne wykazały, że miejsce się nie nadaje z powodu piaszczystych ławic. Wybrano mierzeję Helu naprzeciw Pucka. Robotami kierował Belgijczyk Pleistner, który wslawił się był przy oblężeniu Smoleńska. Portu miały bronić dwie warownie, Władysławów i Kazimierzów. Kupiec gdański Hewel zakupywał dla króla okręty, które przerabiano na wojenne i odpowiednio ekwipowano. W r. 1635 było ich już 12 w pełnej gotowości wojennej, pod dowództwem naczelnym Aleksandra Betena.

Stworzył też Władysław IV „Komisję Okrętów Królewskich“ pod kierownictwem Gerarda Denhoffa, starosty Kościerzńskiego. Był to związek ministerium marynarki.

Wszystkie te wysiłki powstawały w związku z planem wojny o koronę szwedzką. Pomysł był jednak niepopularny. Gdańsk skarżył się na budowę portu, nazywając go „ołtarzem przeciw ołtarzowi“ (zupełnie podobnie, tylko mniej obrazowym stylem, narzeka dziś na Gdynię). Ostatecznie sejmiki udaremniły plany królewskie, nie wotując podatków. Oddziaływała też wielka polityka europejska. Francja musiała za wszelką cenę zapewnić Szwedom na rękę w Niemczech i skłoniła Władysława do zawarcia rozejmu szturndorfskiego, w którym Polska odzyskała w całości Prusy Królewskie, a Inflanty pozostały przy Szwecji. Jednym z warunków było obniżenie w Prusiech cel do poziomu przedwojennego, gdyż Szwedzi byli je znacznie podwyższyli i czerpali z nich około miliona talarów rocznie.

Władysław IV nie dotrzymał tego punktu umowy i pobierał nadal cła w dotychczasowej wysokości, pilnując przy pomocy swych okrętów, aby żaden statek bez opłaty nie wpłynął do portu gdańskiego czy królewieckiego. Wywołało to ostry zatarg z Gdańskiem, który zamknął port, rozpoczął akcję dyplomatyczną i zaczął się zbroić. Przyłączyła się Danja, której handel bardzo ucierpiał. Nocą 2 grudnia 1637 r. ośm statków duńskich uderzyło na cztery polskie, pełniące straż przed Gdańskiem i dwa z nich zabrały. Następnego dnia kilkadziesiąt statków handlowych wpłynęło do portu, nie płacąc cła Rzeczypospolitej. Ostatecznie Gdańsk wygrał sprawę, dając tylko odszkodowanie 600.000 talarów.

Tymczasem Władysława zaprzętny plany wyprawy tureckiej i walki z Turkami. Sprawa morza przestała być aktualna. Wybuchła wnet zawierucha wojenna. Naprzód kozacy, potem Moskale, potem Szwedzi, elektor, Siedmiogrodzianie, wreszcie Turcy rzucały się na Polskę. Nastąpiły czasy potopu, zalewającego rdzenne ziemie Rzeczypospolitej. Sprawa opanowania morza odsunęła się w przyszłość, aby w realnej formie powrócić dopiero po okresie niewoli.

Jan Szarzyński.

Kaszubi - straż nad Bałtykiem

Rewindykacja naszych północnych nadmorskich kresów, a temsamem dostępu do morza, — to w dużej mierze zasługa Kaszubów, ich przywiązania do ziemi ojczystej i mowy rodzinnej, — przywiązania, którego wytepić i złamać nie zdołały żadne zapędy i wysiłki germanizacyjne.

Kaszubi — to potomkowie dawnych Pomorzan, których dziedziny rozciągały się niegdyś daleko na zachód. Dziś zaledwie skromne ich resztki zachowały się poza granicami Rzeczypospolitej, w powiatach bytomskim, łębskim i słupskim.

W Polsce siedzą oni zwartą stosunkowo masą w powiatach wejherowskim, kartuskim i morskim, — oraz w częściach powiatu chojnickiego i kościerskiego.

Wśród plemion, które złożyły się na naród polski, stanowią Kaszubi odłam wysunięty najdalej na północny zachód. O nich też najsilniej uderzały fale germanizacji, płynące od niemieckich sąsiadów.

W połowie XIX. wieku u ludu Kaszubskiego zaginęła wszelka niemal tradycja przeszłości, nie było tam żadnej świadomości narodowej, a określenie „polski“ uchodziło za równoznaczne z „katolickim“.

W tych warunkach groziło Kaszubom zupełne wynarodowienie i germanizacja, — gdyby nie ruch kaszubski, obudzony w tym czasie przez kilka wybitnych jednostek, wśród których ważną rolę odegrał dr. Florjan Ceynowa, lekarz, osiadły w Bukowcu, a później w Świeciu.

On to pierwszy zainteresował się gorąco folklorem kaszubskim, zbierał pieśni ludowe, posługuje się narzeczem kaszubskim w mowie i piśmie.

Działalność Ceynowy spotkała się z ostrą, poczęści zasłużoną krytyką innych działaczy. Niezaprzeczona jednak a wielką zasługą Ceynowy było, iż on stworzył tzw. „kwestię kaszubską“ która odtąd nie przestała już być ani na chwilę aktualną.

Ma ona swych zwolenników i przeciwników, ma przez parę dziesiątków lat cele rozbieżne i nieskoordynowane, — ostatecznie jednak wkracza na jedynie właściwą drogę w roku 1909, kiedy to zaczął wychodzić „Gryf“, skupiający poważną grupę ideowców kaszubskich.

A naczelnym hasłem tej grupy jest obrona Kaszub przed germanizacją, z zachowaniem pewnej odrębności społecznej, jednak w związku ze swą macierzą polską.

Ruch ten zaniepokoił Niemców, którzy też poczęli stosować rozmaite represje celem jego stłumienia.

Ale jak zawsze, wedle odwiecznych praw natury, akcja ta wywołała tem silniejszą reakcję.

„Kulturkampf“, wywłaszczenie, ustawa kagańcowa, — to były bodźce, które obudziły Kaszubów i wykazały ich wielką odporność i siłę żywotną.

Wymownym tego dowodem był wynik wyborów do parlamentu niemieckiego w latach 1871 do 1884 oraz do sejmiku pruskiego w roku 1903.

Gdy jednak napór niemieczyzny stał się wzrastał, koniecznym okazało się budzenie uświadamienia narodowego wśród Kaszubów, zajęcie się ich odręb-

nością kulturową, językiem, obyczajami i zwyczajami.

Na tem polu rozpoczęła się systematyczna, intensywna działalność uczonych i badaczy.

Prace te, zwłaszcza w zakresie językoznawstwa, folkloru i etnografii, prowadzi zarówno uczeni polscy, jak i niemieccy, — ci ostatni z nieukrywająco stronniczością, wyrażając się z pogardą o tej ludności kaszubskiej „brudnej, dzikiej, tepej i oziębatej“.

Zpśród zasłużonych działaczy kaszubskich wymienić trzeba ks. Gołębińskiego, który w swych „Obrazkach rybackich“ daje dużo materiału z zakresu ludowych zwyczajów, strojów, budownictwa i obrzędów Kaszubów.

Dalej Łęgoskiego „Kaszuby i Kociewie“, pierwszy etnograficzny opis Kaszub, A. Parczewskiego szkic historyczno-etnograficzny „Szczałki Kaszubskie w prowincji pomorskiej“, a wreszcie słowniki kaszubskie ks. Pobłockiego i

Ramultra, pierwsze prace w tej dziedzinie.

Największe jednak zasługi dla ludoznawstwa kaszubskiego położył Gulowski, nieustrudzony, wytrwały pracownik, który jeszcze przed wojną starał się swymi publikacjami w języku niemieckim zainteresować Niemców tym „nieznanym ludem“ i uchronić jego kulturę przed zniszczeniem, a po powrocie Kaszub do Polski pracę swą kontynuował, pisząc już po polsku.

Wspólnie ze swą żoną gromadził wytrwale zabytki i okazy kultury Kaszubów w muzeum we Wdzydżach, zabiegał około wznowienia ludowego przemysłu i sztuki i zbierał materiał etnograficzny.

W czasach najnowszych prace te kontynuuje Instytut Bałtycki w Toruniu, prowadząc planową akcję w tym kierunku, przy współudziale wybitnych uczonych, między innymi prof. A. Fischera ze Lwowa.

Prace te dają oczekiwane wyniki: „Kwestia Kaszubska“ poczyna znów interesować cały naród, w którym budzi się zrozumienie, że jest to zagadnienie nie tylko naukowo - kulturalne, ale i społeczne i polityczne.

Kaszubi, to potężny bastion polskości na północnym zachodzie, to nasza przednia straż, wypróbowana i zahartowana w wiekowej walce z żywiołem obcym i wrogiem.

Jaknajściślej spojenie duchowe Kaszub z Polską, przy pełnym poszanowaniu ich odrębności regionalnych, — to nasz program na przyszłość.

Taksamo zapatruje się na tę sprawę „Gryf“, organ współczesnego ruchu kaszubskiego, który w pierwszym zeszycie oświadcza:

„Będziemy pracować w teraźniejszości, a weźmiemy do pomocy przeszłość i tradycję, przesady precz odrzucając, — zaś celem naszym ostatecznym jasna przyszłość Kaszub, w ścisłej łączności z Polską i tylko z Polską“.

(R.)

Gwiazda Morza

Gwiazda jest stałym, nieodłącznym znakiem, symbolem Bogarodzicy. Już w najdawniejszych wizerunkach Matki Bożej, na płaszczu (marhorionie), osłaniającym całą postać wraz z głową, widnieją duże gwiazdy: Jedna złoci się nad czołem Bogarodzicy, druga połyskuje na Jej lewym ramieniu.

Na wizerunkach Bogarodzicy, prowadzącej w bój i do zwycięstw wojenne statki bizantyjskie, połyskiwały gwiazdy. Gwiazda jaśniała również nad władcą mórz, Posejdonem. Idąc po linii najmniejszego oporu, część archeologów gwiazdy Marii tłumaczyła jako spadkob po Posejdonie. W istocie rzeczy, zbieżność tych faktów i identyczność

znaków symbolicznych jest najzupełniej przypadkowa i nie ma nic wspólnego oddziaływaniem tradycji świata starożytnego.

Dodatek

W piśmie św., w komentarzach i księgach Ojców i Doktorów Kościoła, w tradycji i legendzie artyści chrześcijańscy znajdowali aż nadto wiele przesłanek i wskazań, które zmuszały ich do wprowadzenia gwiazdy, jako symbolu Matki Bożej. Znak ten narzucały malarzom słowa proroka Balaama, zapowiadające przyjście Marii: „Wnijdzie Gwiazda z Jakóba“ (Num. XXIV 17).

Etymologicznie imię Maria zespala się z pojęciem morza. Podaje św. Hieronim, że „jeżeli w syryjskiej mowie

imię Marja — Panią oznacza, to w dawniejszym języku hebrajskim tłumaczy się ono inaczej, a mianowicie: oświecająca i oświecicielka lub też gwiazda morza.

Symboliczne znaczenie imienia Bogarodzicy wyjaśnia św. Epifamjusz (Orat. de Laud. V): „Maria to Pani morza życia tego, Mistrzynie nasza i źródło nadziei, zrodziła nam bowiem Pana, Nadzieję świata tu i na wieki“. „Skoro imię Marja“ mówi św. Bonaventura. „wytłumaczmy sobie jako Gwiazda Morza, uznajmy z uwielbieniem, że Imię to najściślej Dziewicy Najśw. i Matce przystoi“.

Czytamy bowiem i prawdą to jest, iż żeglarze, gdy się w daleką jakąś ku nowym łądom puszczają żeglugę, zwykli wybierać sobie pewną gwiazdę, aby za jej promieniem i kierunkiem bezpiecznie do celu dostać się mogli. Taką przewodnią i nieomylną gwiazdą jest dla nas Błogosławiona Maria, która wiedzie nas po morzu świata w łodzi pokuty lub niewinności wprost aż do wybrzeża niebieskiej Ojczyzny“ (S. Bonav. in Spec. V. c. III).

„Maria, uczy św. Bernard, jest ową gwiazdą doskonałą, zrodzoną z Jakóba, której promień jasny oświeca nie tylko całe morze wszechświata, nie tylko niebiosy same, lecz i podziemne przenika przepaście. Ona, gwiazda przewodnia, skierowując nas ku niebieskiej ojczyźnie, wiedzie wprost przez ocean życia do łaski Syna swego, do rajskiego portu. Ona to błyszczy nam zasługą, jaśnieje wzorami, rozgrzewa ducha, wypala występki, rozżarza cnoty“ (S. Bern. in fin II hom.).

Jednocześnie w stosunku do nas, tłumaczą inni Doktorowie Kościoła, „Marja to morze słodczy, Ocean dobroci i łaskowości; jako niki, zrzucać nie może pojedynczych kropel wód morza, tak nikt też wyrazić nie zdoła miłosierdzia Jej dla nas, ni własnej Jej doskonałości i chwały (S. Dion. Cath. de Laud. lib. 3 art. 30). Jest Marja Gwiazdą, gdyż oświeca nas światłością Chrystusową; przez Nią i w Niej poznajemy Chrystusa, Słowo przedwieczne, które Ciałem się stało, Syna Bożego, który zstąpił ku nam dla naszego zbawienia.

(kr.)

„Portret mojej matki...“ Dzieje wędrówki pewnego obrazu

Tęmi dniami wraca do Paryża z Ameryki słynny obraz najlepszego malarza amerykańskiego Whistlera „Portret mojej matki“. Wraca po sześciu miesiącach, by zająć spowrotem honorowe miejsce w Muzeum Louvre'u, wśród długiej galerii innych arcydzieł.

Historia tego obrazu, który zadecydował o światowej sławie malarza, jest niezwykle ciekawa.

Whistler, który przebywał przez długi czas w Paryżu na studiach, wyjechał w roku 1870 do Londynu, gdzie zamieszkała jego matka — staruszka. W Londynie też namalował portret swej matki. poczem w roku 1872 przesłał swe dzieło do „Royal Academy“.

Długo wahano się i sprzeciwiano stanowczo przyjęciu tego dzieła, tak że jeden z poważnych członków Akademii, sir William Boxall, zmuszony był nawet zagrozić swą natychmiastową dymisją, o ile obraz Whistlera zostanie odrzucony.

Ostatecznie obraz przyjęto, ale na wystawie spotkał się on z bardzo ostrą krytyką zwiedzającej publiczności. Waży się mogło, że kariera artystyczna Whistlera już jest zamknięta...

Ale w parę lat później szczęście mu się uśmiecha. W roku 1881 Whistler posyła ten swój najlepszy obraz do Salonu Paryskiego. Było to właśnie w tym czasie, gdy rząd francuski rzekł się wszelkiej ingerencji w sprawie kwalifi-

kowania i przyjmowania dzieł nadsyłanych na doroczne wystawy, — a decyzyja co do przyjmowania dzieł przeszła w ręce „Jury“, wybranego przez samych artystów. Jednym z pierwszych aktów tego nowego „jury“ było odznaczenie medalem genialnego Manet'a, którego obrazy dotychczas nigdy jeszcze nie wisiły w Salonie Paryskim.

„Portret mojej matki“, wystawiony w Paryżu, spotyka się z entuzjastycznym przyjęciem zarówno ze strony publiczności, jak i ze strony fachowej krytyki, która potrafiła ocenić wielkie walory artystyczne tego arcydzieła, jego potęgę ekspresji, czystość linii i znakomite wyzyskanie efektów świetlnych. W porcie tym, będącym głębokim hołdem miłości synowskiej, postać matki staruszki oddana jest z niewysłownym czarem prawdziwej poezji.

Whistler otrzymuje za portret ten medal od Komitetu wystawowego i w roku 1889 zostaje mianowany oficerem Legii honorowej. A jego najlepsze dzieło „Portret mojej matki“, zakupuje rząd francuski do Louvren.

Stany Zjednoczone, które przez pół roku gościły u siebie arcydzieło Whistlera, wydały z tej okazji specjalny znaczek pocztowy z reprodukcją tego obrazu. Tak więc „Portret mojej matki“ stanie się popularnym w całym świecie, a filateliści powiększą swe zbiory naprawdą niezwykłym i oryginalnym znaczkiem.

Nasze rybołówstwo morskie

Fauna morska na Bałtyku nie odznacza się ani zbytnią obfitością ryb, ani też takim bogactwem gatunków, jak Ocean Atlantycki. Powodem tego stanu rzeczy jest mała stosunkowo zawartość soli w wodach Bałtyku, nie dochodząca nawet do 1 proc., — wobec 3,5 proc. w Morzu Północnym, a znacznie jeszcze wyższego procentu na otwartym oceanie.

Z drugiej strony w wodach tych, bardzo słabo słonych, żyją też i rozmaite gatunki ryb typowo słodkowodnych, dzięki czemu znaleźć tu można obok szpiotek, śledzi, fląder czy delfinów, — nasze pocziwe płotki i karpie.

Mimo wszystko jednak rybołówstwo morskie stanowi główne źródło zarobku dla paru tysięcy rodzin rybaków, osiadłych na brzegach naszego morza, — a i w ogólnej gospodarce krajowej stanowi już dziś wcale poważną rubrykę.

Głównym przedmiotem połowów na polskim morzu są łososie, węgorze, flądry, turboty, śledzie, dorsze i szprotki, czyli sielawki.

Sposoby połowu bywają rozmaite. Najpospolitszym i najstarszym jest łowienie zapomocą niewodów. Obok tego używa się rozmaitych narzędzi rybackich, jak „takli“, „kaszorków“, „klonek“, — wreszcie większych sieci, zwanych „drugab“, „ukiejnica“, „jajdzówka“ itp.

Zimową poia łowi się, zwłaszcza węgorze, w sposób zupełnie prymitywny zapomocą tzw. „ościeni“ czyli „bodurów“. Są to ostre żelazne widła, które mi w nocy przy świetle łuczywa kłują rybacy w płytkie dno, nabijając ukryte wśród podmorskich zarośli ryby na ostre kolce, zaopatrzone zadziornami.

Flądry i inne gatunki ryb, przebywających na dnie morza, łowi się zapomocą „trali“, tj. dużych sieci, wleczonych mozolnie po dnie morza, — lub też „cechrów“. Pozatem są w użyciu sieci stojące „nety“, splecione z cienkich nittek o oczkach natyle tylko szerokich, iż płaskie flądry więzną w nich głowami.

Dzięki opiece i wydatnej pomocy Morskiego Urzędu Rybackiego rybołówstwo nasze wkracza zwolna na tory racjonalnego rozwoju i postępu. Zwiększa się z każdym rokiem flota łodzi żaglowo-motorowych i większych kutrów rybackich, — a zasięg ich pracy sięga stopniowo coraz dalej, na otwarte morze.

Rybacy pomorscy tworzą od wieków odrębne związki, niejako spółki spółdzielcze, zwane „maszoperjami“. Na czele każdej takiej maszoperji stoi szypier, — członkowie, czyli „maszoper“, dzielą między siebie odcinki brzegu, przy którym nastąpić ma połów, — a zyskami dzielą się wszyscy według tradycją ustalonych zasad.

Maszoperja nie jest instytucją rodzimą, lecz przeniesioną na nasz grunt z Holandji. Uległa ona u nas jednak pewnym charakterystycznym modyfikacjom, na tle lokalnych zwyczajów i wierzeń religijnych. Tak więc każda maszoperja kaszubska pozostaje pod wpływem jakiegoś świętego: Jana Ewangelisty, Rocha, Błażeja, Michała, Barbary itp.

Każdy połów czy wyjazd na morze poprzedzają uroczyste nabożeństwa i modły. Łączą się z tem przeróżne zabobony, przesady i tajemne praktyki magiczne, pozostałości z zamierzchłych czasów pogaństwa, nieraz przekazywane z ojca na syna w najgłębszej tajemnicy.

Rybołówstwo morskie rozwija się u nas pomału ale systematycznie. A ma ono wszelkie widoki dalszego rozwoju, tembardziej, że ryby bałtyckie odznaczają się szczególnie delikatnym i smacznym mięsem.

Koniecznym jest tylko urządzenie odpowiedniej ilości suszarni i fabryk konserw, aby rybak nie potrzebował wyzywać się swego plonu w Gdańsku, jak to dotychczas w dużej

mierze jest praktykowane. W tym kierunku i samo społeczeństwo polskie może dużo pomóc, wyzbywając się dotychczasowego, niczem nieuzasadnionego uprzedzenia do ryb morskich, których konsumpcja u nas jest dotychczas niestosunkowo niska.

(R.)

Gotlandja - matka narodów

Nie można odmówić słuszności historykom i badaczom, którzy Bałtyk nazywają „Morzem Śródziemnym Północnym“.

Bo jeśli analogia ta szwankuje, o ile idzie o międzynarodowe, ogólne znaczenie kultury i cywilizacji śródziemnomorskiej i zasięg jej wpływów, — to jednak tocząca się od niepamiętnych czasów walka o hegemonję na morzu Bałtykiem zaważyła niejednokrotnie bardzo poważnie na szali losów narodów zamieszkujących jego wybrzeża, urastając do pierwszorzędnej wagi zagadnienia międzynarodowego.

Walka ta toczyła się przez długie wieki, a całe zagadnienie streszczało się w tem, czy Bałtyk ma się stać „mare nostrum“, na którym jeden tylko naród ma pełną swobodę i władzę, — czy też służyć ma w równej mierze wszystkim narodom, zamieszkującym jego wybrzeża.

Ta ostatnia zasada odniosła ostateczne pełne zwycięstwo — i dziś, w wyniku wojny światowej — dziewięć narodów, między nimi i Polska, korzysta z równouprawnienia na wodach Bałtyku, zgodnie z tendencjami dawnej polityki morskiej Jagiellonów.

Wiekowe te walki nie pozostały bez wpływu na wytworzenie się odrębnego ogniska kultury nadmorskiej, której twórcami i głównymi przedstawicielami byli ludy germańskie, osiadłe nad brzegami Bałtyku od tysięcy lat.

Głównym ogniskiem tej północnej kultury nadmorskiej była wyspa Gotlandja ze swą stolicą Visby.

Już historyk rzymski Gordanus, żyjący w II wieku nazywa Gotlandję „matką narodów“. Zdaniem niektórych uczonych, z Gotlandji właśnie wyemigrowali — na jakieś tysiąc lat przed narodzeniem Chrystusa — owi pierwsi Aryjczycy, ludzie wysocy, smukli, o białej cerze i błękitnych oczach, których ślady znajdujemy w historii starożytnej Grecji.

Z Gotlandji też wyruszyli skandynawscy Goci na podbój wybrzeży Bałtyku, opanowując ujście Wisły i posuwając się stopniowo dalej zarówno na wschód jak i na zachód.

Data założenia Visby ginie w mrokach zamierzchłej przeszłości. Badania i odkrycia archeologiczne wykazują ślady cywilizacji bardzo starej, wykazującej dużo wspólnego z cywilizacją grecką. W epoce Wikingów Visby stała się

ważnym punktem handlowym, stojącym w stosunkach nietylko z Europą północną, ale i z Południem i Wschodem.

Powstały w XIII wieku związek hanzeatycki znajduje we Visby jeden z najsilniejszych punktów oparcia. Miasto rozwija się gwałtownie, buduje potężne fortyfikacje i cały szereg wspaniałych kościołów, z których po większej części przechowały się do dziś tylko ruiny.

Z końcem trzynastego wieku Visby staje się jednym z największych i najbogatszych miast w Europie, ustępując pierwszeństwa tylko Londynowi i Paryżowi.

Ten okres świetności trwa jednak krótko: od XIV wieku rozpoczyna się powolny upadek miasta, w związku ze zmienioną sytuacją polityczną na Bałtyku.

I obecnie Visby, ciche miasteczko o 10.000-ej ludności, śni swój sen o sławie; purpurowe pnące róże osłaniają mury kościołów i fortyfikacji, czcigodne zabytki zamierchłej przeszłości. Rzadko tylko zawinie tu jakiś okręt, wiozący nie licznych turystów — przeważnie angielskich, — szukających wypoczynku na cichej wyspie, zagubionej wśród szarych wód Bałtyku.

(N.)

Japońska marynarka wojenna

Jeszcze niedawno temu, w połowie zeszłego wieku, Japonia była państwem feudalnym, niemal zupełnie izolowanym od całego świata; wystarczyło siedm-dziesiąt lat, by stała się ona potężnym mocarstwem światowym, czynnikiem decydującym na Dalekim Wschodzie.

W wielkim tem dziele odrodzenia narodu jednym z najważniejszych czynników było utworzenie potężnej, nowoczesnej floty wojennej.

A posiada po temu Japonia idealne warunki: w pierwszym rzędzie znakomity materiał ludzki. Japończycy, to naród żeglarzy. Ludzie naogół prości, o średniej inteligencji, ale odznaczający się niesłychaną wytrzymałością na trudy, fanatycznym przywiązaniem do ojczyzny i cesarza i brawurą, posuniętą do ostatecznych garnic.

Wystarczy przypomnieć taki charakterystyczny epizod: pewien inżynier japoński skonstruował torpedę, kierowaną przez siedzącego w jej wnętrzu człowieka, skazanego temsamem zgóry na zagładę z chwilą wybuchu torpedy. Otóż od razu zgłosiły się tysiące ochotników, gotowych oddać swe życie w służbie dla państwa.

Oficerowie japońscy posiadają wyższe fachowe wykształcenie; do służby w marynarce wybiera się tylko najlepsze jednostki. Służba to ciężka, a niewdzięczna: oficer może być każdej chwili zwolniony bez prawa jakiegokolwiek emerytury lub odprawy.

Co więcej, i warunki służby na okrętach wojennych nie przedstawiają się zbyt różowo. Kajuty małe, niskie, pozbawione wszelkiego komfortu, wikt bardzo skromny, składający się głównie z ryżu, ryb suszonych i herbaty.

Zgodnie z postanowieniami konferencji waszyngtońskiej cały tonaż japońskiej floty wojennej nie może wynosić więcej, niż ca. 3/4 tonażu floty amerykańskiej i angielskiej.

Japonia postanowienia te uważała jako pewnego rodzaju upokorzenie; pogodziła się jednak z losem, postanawiając jedynie wykorzystać przysługujące jej uprawnienia w jak najszerszym zakresie.

Buduje zatem tyle jednostek bojowych, na ile w każdej kategorii okrętów zezwalają jej traktaty. Nie przekraczając ogólnych ram ustalonego tonażu, stara się przy budowie wyzyskać każdy metr kwadratowy przestrzeni — rezygnując z wszelkiego komfortu, z wszelkich wygód dla załogi. Bo oszczędzone w ten sposób miejsce pozwoli na ustawienie jeszcze jednego działka więcej, zwiększając wartość bojową okrętu.

I dlatego to zbudowane ostatnio w Japonii krążowniki drugiej klasy, przy pojemności 8050 ton, uzbrojone są w pięć naście armat 155 mm., podczas gdy tego samego typu krążowniki amerykańskie, przy równej ilości armat, mają pojemność 10 tysięcy ton.

Równolegle z rozbudową floty idzie rozwój lotnictwa. W ciągu roku 1933/34 wybudowała Japonia cztery okręty — matki, z których każdy może zabrać do siedemdziesięciu hydroplanów. Do tego doliczyć należy 20 eskadr hydroplanów o potężnym promieniu akcji, mających swe bazy na rozmaitych punktach wybrzeża.

Z tem wszystkim trudno pogodzić niesłychanie poetyczne nazwy, nadawane okrętom wojennym, jak np. „Uśmiech wschodzącego słońca“, „Wonny wiatr wieczorny“, „Różowa

chmura zachodu“, „Ciepły wiatr nocy“ itp.

Wybór tych nazw, — to jeszcze jeden ciekawy rys charakteryzujący ten naród, którego psychika pozostanie dla nas długo jeszcze trudną do rozwiązania zagadką.

Rozwój telewizji Co wobec tego będzie za lat 10?

(Spe) Według obliczeń z dnia 1 maja b.r., w Stanach Zjednoczonych istnieje 29 koncesjonowanych nadawczych stacji doświadczalnych dla telewizji. Liczbę odbiorników szacują na 10 tysięcy. Warto zaznaczyć, że telewizja stosowana już jest na uniwersytecie stanu Iowa do celów powszechnego nauczania i za jej pomocą demonstrowany jest n. p. racjonalny sposób czyszczenia zębów, wykresy statystyczne, położenie warg i języka przy wymowie języków obcych i t. p. przytacza się przytem stwierdzony fakt, że człowiek nabywa swe wiadomości w 83 procentach wzrokiem, a w 13 procentach słuchowo.

Drugim krajem, gdzie telewizja zaczyna zataczać najszerze kręgi, jest świetnie technicznie rozwinięta Japonia. Ostatnio japońskie ministerstwo komunikacji postanowiło utworzyć, przy współpracy wielu instytucji naukowych, stowarzyszenie dla badań telewizyjnych. Towarzystwo to będzie miało za zadanie spopularyzować telewizję w Japonii i podjąć prace przygotowawcze nad wprowadzeniem regularnej służby telewizyjnej.

Wielcy uczeni i badacze

Jesteśmy obecnie świadkami bardzo ciekawego zjawiska, — które niezawodnie jest cechą naszej współczesnej kultury, — mianowicie chodzi tu o powszechne zainteresowanie życiorysami wybitnych ludzi. Jeszcze nigdy nie pojawiła się tak olbrzymia ilość książek biograficznych. A skala ich bardzo szeroka, od skromnych, bezpretensjonalnych szkiców, do wielkich kilkutomowych monografii. Od rzeczowej charakterystyki życia, do wielce pretensjonalnych życiorysów, opartych na rzekomej rekonstrukcji psychologicznej. To ultrahumanistyczne zainteresowanie wypływa z dwóch wielkich prawd, z których dopiero obecnie w całej pełni zdajemy sobie sprawę. A mianowicie — primo, że czynnikami posuwającymi naszą kulturę były wybitne jednostki; secundo, że wszelka twórczość nosi na sobie cechę swej indywidualności.

Jakież to jest dalekie od bezimiennej średniowiecznej twórczości. Mam tu na myśli głównie t. zw. twórczość cechową. W miarę posuwania się wieków, ambicja poszczególnych jednostek coraz bardziej wzrasta w kierunku przekazania potomnym swego imienia. Ale dopiero dziś w pełni zrozumieliśmy te dwie zasadnicze wyżej wymienione prawdy.

Nic też dziwnego, że genezy wielkich dzieł, czy to odkryć czy wynalazków, czy też tworzeń artystycznych lub wreszcie poczyniń reformatorskich i politycznych, poszukujemy w życiu oraz w warunkach rozwojowych wielkich ludzi. A i nie brak w tem poszukiwaniu pewnego elementu uczuciowego. Sentyment zaś, jakim darzymy tych ludzi minionych pokoleń świadczy o bliskości psychicznej wielkich jednostek przerażających własną współczesność, z daleką przyszłością, do której my — w stosunku do nich — należymy.

Przepiękne wydawnictwo, jakim

jest „Biblioteka Wiedzy” (Trzaska, Ewert i Michalski S. A. Warszawa) wydało z zakresu omawianej dziedziny, dwie godne uwagi książki. Pierwsza z nich to Inż. E. Porębskiego „Wielcy twórcy nauki”.

Autor, znany ze swych popularno-naukowych pogadanek wygłaszanych w Radio, w zwięzłych szkicach biograficznych przedstawił rozwój wiedzy ścisłej od czasów najdawniejszych aż po czasy współczesne. Przepiękne ilustracje pozwalają na równoczesne poznanie oblicza opisywanych wielkich twórców nauki. Jeśli chodzi o sam układ materiału, to widać w nim przewagę życiorysów twórców z dziedzin technicznych przy pewnym uszczupleniu nauk biologicznych. Wypływa to oczywiście ze sfery zainteresowań i specjalności autora, a w żadnym względzie nie zmniejsza wartości tej pięknej i pożytecznej książki.

Drugim dziełem, o którym chcę parę słów napisać, to przekład książki Pawła De Kruif (autora „Łowców mikrobów”): „Walka nauki ze śmiercią”. Praca amerykańskiego pisarza, — który będąc lekarzem poświęcił się publicystyce, — odznacza się nieprzeciętnymi walorami artystycznymi. Opisy toku prac i dzieje wysiłków wielkich badaczy, dążących do rozwiązania problemów życia i śmierci, przy równoczesnej obfitości elementu anegdotycznego, w efekcie dają obraz silnie dramatyczny, któremu nie sposób nie ulec, czytając lub choćby tylko przerzucając karty tej pięknej książki.

A pisana jest ona z żywiołowym wprost umiłowaniem, jakim autor darzy bohaterów swych szkiców. Na początku: Semmelweis, węgierski lekarz, który w połowie XIX-go wieku pierwszy zaczął skutecznie walczyć z tą straszną plagą, jaką jest gorączka połogowa. Albo: Banting, odkrywca insuliny, bojujący ze straszną chorobą, której

na imię cukrzyca. I wielu, wielu innych. Ich poświęcenia, ich trudy, upadki i wzloty. Wszystko to, żywo i barwnie przedstawione, przesuwa się przed oczyma czytelnika niby mozaika.

Obok — „Łowców mikrobów” — „Walka nauki ze śmiercią” — to jedna z najpiękniejszych książek o typie biograficznym, jaka ostatnio się ukazała. Pod względem graficznym książka ta, jak i poprzednie z tego wydawnictwa, przedstawia się bardzo dobrze. Przejrzysty druk, piękny papier, mnogie ilustracje, oto jej zewnętrzne zalety. Jedynie drobne zastrzeżenia można mieć co do języka polskiego przekładu, który miejscami razi sztucznością. W sumie jednak jest to do wybaczenia, gdyż „pochłaniając” treść, zwraca się mniejszą uwagę na drobne szczegóły.

Jeszcze o jednej, ale już rzeczowej usterce muszę wspomnieć. W pięknym szkicu o badaniach nad tyfusem Gór Skalfstych, popełnił autor pewien błąd. Wspomina bowiem o pierwszym laboratoryjnym doświadczeniu uodpornienia świnki morskiej, przeciwko tyfusowi plamistemu, zastrzykami z zawiesiny rozartych wszy tyfusowych w roztworze kwasu karbolowego.

Jako autora tego eksperymentu wymienia badacza nazwiskiem Breinl. Ubocznie wspomnę, iż istnieje dwóch bakterjologów o tem nazwisku. Tu prawdopodobnie chodzi o tego, który był asystentem Prof. Weila z Pragi. Muszę jednak wyjaśnić, że autorem wymienionego doświadczenia był nie Breinl, lecz badacz niemiecki da Rocha-Lima.

Dalej pisze de Kruif tak: „...jasne, że nigdy nie zdobędzie się dostatecznej ilości wszy na sporządzenie szczepionki dla ludzi. Doświadczenie to miało raczej znaczenie akademickie, niż wartość praktyczną”. W tych słowach usiłuje autor przedstawić stan wiedzy w tej dziedzinie w roku 1924. Jednak powyż-

sze wywody należy sprostować. Badania nad istotą zarazki tyfusu plamistego i nad sposobem czynnego uodpornienia przeciwko tej chorobie prowadzone były przez polskiego uczonego dr. Rudolfa Weigla obecnie profesora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, który definitywne rozwiązanie obu problemów ogłosił już w roku 1919 w pracy p. t.: „Untersuchungen und Experimente an Fleckfieberläusen. Die Technik der Ricketsia Forschung”. (Beitr. Klin. Infektionskrankh. 1919).

Oczywiście, że de Kruif będąc jedynie amerykańskim lekarzem-publicystą a nie badaczem, nie musi znać literatury ściśle naukowej. Jednak polski przekład powinien choćby w formie przypisku od tłumacza posiadać odpowiednią notatkę, informującą czytelników o tej jednej z największych zdobyczy nauki polskiej w ostatnich latach. Wspomnieć również muszę, że to, co uważa de Kruif za rzecz wręcz niemożliwą tj. hodowlę wszy tyfusowych do celów wytwarzania szczepionek, od lat 18 realizuje polski uczony. Tu okazuje się, że w przyszłości, przekłady prac tego typu, winne być przejrzane — przed oddaniem do druku — przez dobrze zorientowanego w tych sprawach, fachowca.

Wracając do samej książki jeszcze raz muszę powiedzieć że należy ona do bardzo wartościowych i pięknych publikacji z dziedziny nie tylko biograficznej, lecz również popularno-naukowej.

Przeszczepienie rogówki

Prof. Filipon w Odesie dokonał niezwykle interesującego i śmiałego eksperymentu, przeszczepiając oślepiej kobiecie rogówkę ze świeżych zwłok. Próba powiodła się zupełnie: chora odzyskała wzrok.

**Daj grosz
na L. O. P. P.**

A. SAMAIN.

Rzeka

Poczęta tam, gdzie łańcuch nagich gór się spiętrza,
Rzeka bierze swój żywot w mrokach Ziemi wnętrza.
Prastare zadumane skały, żywicieli
karmi ją, sącąc czyste kryształu kropelki,
wsłuchane, jak bełkocze w swem łożu kamiennem
taka słabiutka jeszcze, — w zadumaniu sennem
patrzają na te igraszki jej w swawolnym biegu
w pośród radosnej bieli przeczystego śniegu.
Tak Rzeka wzrasta, z czujną strzeżoną miłością,
czysta lodów czystością i Niebios bliskością.

Lecz wkrótce, gnana żądzą zdobycia przestrzeni,
pędzi w dół wartkim nurtem, burzy się i pieni,
tocząc w ciasnym korycie, co jej siły więzi,
odłamki głazów, — zieleń złamanych gałęzi.

W głębi ciemnych wąwozów pęd jej zwolna ginie, —
już cichnie, bo nareszcie płynie po równinie,
i tam toczy swe wody spokojnie, powoli,
w pośród zbóż horyzontów, wśród rodzajnej roli
poprzez łąki, pastwiska, — kraj żyzny, bogaty,
i poprzez symetryczne łanów zbóż kwadraty.
Płynie wolno, jak woły, co noga za nogą
wonnem sianem ładowną furę ciągną drogą.
Na jej brzegi uśmiechy lata wciąż się kładą,
czasami gdzie napoi jakie bydło stado, —
mija po drodze wioski, miasta, zamki, sioła
i płynie roześmiana, spokojna, wesola.

Jednak rozpęd dawniejszy jeszcze w niej nie gaśnie.
Czasem, gdy Zima zbyt zdmuchnie ją, — tak właśnie
jak byk za rogi ciężko do ziem przywalony
rozrywa nagle pęta lodów na wsze strony,
z łatwością łamie mostów kamiennych ogniwa
i wali się jak wichur, — pożoga straszliwa.
A ludzie, nad brzegami stojąc oniemiały
patrzają z zgrozą i trwogą na szum strasznej fali
Aż wreszcie, niby lwica, zdobyczy już syta,
wraca znowu pomału do swego koryta,
by znów rozpocząć sen swój, — sen błogi, — sen złoty,
uśmlechnięta do Słońca i Niebios pieszczoty.

Tymczasem rośnie w siłę, — a w jej nurt głęboki
wpadają hołdownicze rzeki i potoki.
Niby dumna królowa toczy bieg swej fali
ku stolicy, co czeka już na nią w oddali,
aż po tysiącznych skrętach, płaszczem wysp strojnie
podpływa pod Stolicę, ogromna, dostojna.

Bukietami ogrodów, światłem swych wybrzeży
wita Stolica Rzekę, co u stóp jej leży, —
śmieją się ku niej z góry kwieciste terasy
i pałace, co dawne pamiętają czasy.
Pod wieczór marzyciele patrzą na jej wody,
grające tęczą blasków w słoneczne zachody,
a Noce nieraz kryją w jej strasznej głębinie,

niejedną tajemnicę, co na wieki zginie.....
Coraz liczniejsze, większe statki po niej płyną,
niosąc zboże, żelazo, len, drzewo lub wino.
Z cichem błogosławieństwem schylają się do niej
odwiecznych starych katedr wyciągnięte dłonie.
I Rzeka, święta, płodna, jest jako krew żywa,
co potężna, przez serce Narodu przepływa.

I tak tryumfująca płynie dalej, — dalej,
z potężnym szumem swojej historycznej fali,
coraz głębsza, i w siłę coraz bardziej rośnie,
obejmuje kraj cały wstęgą swą miłośnią.
Już na niej pojawiają się duże okręty,
już niejedną drży żagiel na niej, wiatrem wzdęty,
i już wicherzy się mocno fal błękitnych grzywa
od wichru, co z nieznanych przestworzy się zrywa

To Ocean, Ocean, — już od morza strony
dolatuje ku Rzece powiew rzeźki, słony.
Rzeka drży, niespokojna, — i aż do fal wnętrza
eoraż częściej od morskich przypliwów się spiętrza
Zrozumiała nareszcie już królewska Rzeka,
córa gór, — pół i równin władczyni, — tam czeka
łożnica od prawieków wśród morza usłana,
która sól morską skrapia, stroi białą pianą.

A wtedy, podwajając fal swych bieg, — szeroko
rozlewa się, że ledwo ogarnie ją oko, —
aż porwana przez swego Oblubieńca — Morze
zerwie się, z hukiem, szumem, rzuca się w to łoże,
na które zachód słońca złote blaski kładzie,
i — dumna — ku niezmiennej idzie już zagładzie.

przełożył Kazimierz Rychłowski

Gimnazjum polskie w Charbinie w przededniu likwidacji

Trzy istniały gimnazja polskie poza granicami Europy: Chicago, w Kurytybie w Paranie (Brazylja) i w Charbinie, dawniej w Chinach, — dziś w Cesarstwie Mandżurskim (Mancza-Di-Kuo). Z tych trzech tylko gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Charbinie posiadało program nauki, w zupełności odpowiadający programowi równorzędnych szkół średnich w Polsce — tylko ono posiadało prawa publiczności i otwierało swym absolwentom dostęp do wyższych zakładów naukowych w Polsce.

Osobliwością programu tego gimnazjum był język angielski, jako język nowożytny, język rosyjski — jako przedmiot nadobowiazkowy dla klas niższych (do V-jej włącznie), od r. 1929 — język chiński i związane z nim przedmioty orientalistyczne; śpiew, rysunki i gimnastyka traktowane jako przedmioty trzeciorzędne i wykładane dorywczo, przejściowo. Poza to program gimnazjum w niczym nie różnił się od programów gimnazjów humanistycznych w Polsce.

Gimnazjum to od roku 1925 wypuściło ze swych murów kilkudziesięciu absolwentów, z których przeważająca większość udała się do Polski na wyższe studia. Główne ogniska skupienia ich w kraju — to Warszawa i Kraków. Większość studjuje w wyższych szkołach handlowych, na Akademii Górniczej w Krakowie, na wydziałach filozoficznych, znikoma ilość na prawie, jeden książkę zmarł przed paru miesiącami, kilku poświęciło się zawodowi oficerskiemu w armii lądowej, równie jak w marynarce wojennej, paru pracuje w literaturze i publicystyce, zajmując częstokroć bieżąco przeciwne stanowisko ideowe czy artystyczne.

Gimnazjum to od początku swego istnienia było potężnym narzędziem propagandy odrębności kultury polskiej na Dalekim Wschodzie, zarówno wśród Rosjan i innych Europejczyków, jak i wśród Chińczyków i Japończyków; było niesłychanie ważną placówką na terenie ratowania Polaków przed wynarodowieniem — dzięki niemu i w jego murach otrzymywały i pielęgnowały poczucie swej przynależności do polskości i swej odrębności od otaczającego żywiołu rosyjskiego — dziesiątki, a w sumie można śmiało powiedzieć — i setki polskich, wynarodowionych częściowo lub zupełnie — dzieci i młodzieży. Gimnazjum było tam miejscem, gdzie się przechowywało i pielęgnowało poprawność i czystość języka polskiego, gdzie kultywowało się tradycje patriotyczne i umożliwiało młodzieży dostęp do źródeł kultury polskiej drogą zapoznawania jej i rozwijania w niej kultu dla wielkiej sztuki narodowej, w pierwszym rzędzie do literatury przedrobiorowej i wielkiej poezji romantycznej.

Gimnazjum powstało z inicjatywy prywatnej proboszcza kościoła św. Stanisława w Charbinie, — ks. Władysława Ostrowskiego, dziś Wikariusza Apostolskiego na Mandżurji. Jego też staraniem i bądźto z jego funduszy, bądź z jego inicjatywy pozyskanych — wzniesiony został gmach parafjalny na gruntach kościelnych, ofiarowany przezeń do użytku gimnazjum. W stosunku z władzami miejscowymi gimnazjum również występowało jako instytucja prywatna, rząd jednak Rzeczypospolitej Polskiej, w szczególności Ministerstwo W. R. i O. P., — otoczyły tę placówkę polską opieką, nadając jej w latach 1923 i 1925 prawa publiczności w Polsce, zaopatrując ją w pomoce naukowe, sześć zaś osób z personelu pedagogicznego przenosząc na etat państwowy, co z jednej strony odciążało bardzo budżet gimnazjalny, z drugiej — dało możność tym nauczycielom bez zastrzeżeń poświęcić się pedagogicznej, mając zapewniony swój i swoich rodzin.

W roku 1934 Ministerstwo W. R.

i O. P. uznało istnienie gimnazjum polskiego na Dalekim Wschodzie za zbyt cenne i wydelegowało prof. Instytutu Wschodniego w Warszawie, p. Jaworskiego do zlikwidowania tej placówki polskiej w jej formie dotychczasowej i przekształcenia jej w popularne na Dal. Wschodzie „college” handlowe. Niewiadomo, jakie pobudki kierowały Ministerstwem, gdy powzięło tę decyzję: być może, względy oszczędnościowe, może dokładne zdanie sobie sprawy z tego, że polska ekspansja na Dal. Wschodzie może w obecnych warunkach mieć charakter wyłącznie ekonomiczny, a nie kulturalny; może zadecydował tu fakt osłabienia łączności między kolonją charbińską a Polską, zmniejszenia się napływu absolwentów charbińskich do wyższych uczelni w Polsce lub niechęć czy niemożność wspomagania tych absolwentów stypendjami i udzielania im daleko idących ulg i pomocy, jak to w szerokim zakresie praktykowano było dawniej.

W każdym jednak razie likwidacja polskiego gimnazjum w Charbinie — to wielki cios moralny, przedewszystkiem własnie dla Polaków charbińskich, — to poważny uszczerbek kultury polskiej i jej ambicji ratowania rozrzuconych po świecie rodaków przed wynarodowieniem.

Wobec takiej decyzji Min. W. R. i O. P. możemy patrzeć na gimnazjum im. H. Sienkiewicza w Charbinie, jako fakt, należący już do przeszłości, do historii. Warto więc choćby w paru słowach skreślić ku pamięci tych Polaków, którzy mieli szczęście wychować się na ojczyźnie łonie, — historję tej placówki kulturalnej i wychowawczej, oddalonej od Polski 10.000 kilometrów!..

Gimnazjum powstało w r. 1917 — jak już się powiedziało — z inicjatywy ks. Wł. Ostrowskiego. Z początku posiadało tylko 3 klasy najniższe, z biegiem jednak lat klas tych przybywało, i w r. 1924—5 było

ich już osiem, na wiosnę zaś 1925 r. odbył się pierwszy egzamin dojrzałości, do którego stanęło i który zdało 2 (słownie dwu!) maturzystów. Wogóle ilość uczniów w klasach wyższych była minimalna: przeciętnie kończyło gimnazjum co roku 5—8 uczniów, w roku zaś 1924/5 w klasie siódmej był tylko jeden uczeń!..

Natomiast silnie obsadzone były klasy najniższe (30—40 osób) — przeciętnie ilość uzeń i uczniów w roku szkolnym wynosiła 90—100, a nawet i 120 osób.

Gimnazjum było koedukacyjne, jak również i szkoła początkowa im. św. Wincentego a Paulo, znajdująca się w tymże gmachu, co gimnazjum.

Pierwsze lata istnienia gimnazjum — jak to zawsze na początku bywa — cechował chaos: nieuporządkowana administracja, niewypracowany program, niestaly personel nauczycielski. Stabilizacja nastąpiła w latach 1920—25, kiedy to gimnazjum otoczone zostało opieką Delegacji Rządu Polsk. na Chiny w osobach konsulów i delegatów Morgulca, Pindora, a w szczególności — Symonowicza, dyrektorem zaś był surowy, wymagający, ale i energiczny p. Janiszewski.

On to zaprowadził ład i porządek w gimnazjum, — on też największe położył zasługi na polu pielęgnowania czystości i poprawności języka polskiego, dając niedostateczny stopień z polskiego uczniom, którzy w szkole wymówili choćby jedno słówko rosyjskie. Świetny pedagog i wielki znawca gramatyki, nie był jednak w stanie p. Janiszewski rozbudzić w uczniach miłości do literatury polskiej; cechowały go w dodatku pedanterja i formalizm — nie chciał uznać za dojrzałego w zakresie jęz. polskiego ucznia, który w wypracowaniu maturalnym popełnił jeden błąd ortograficzny: dopiero interwencja Min. W. R. i O. P. sprawiła, że uczeń ten otrzymał świadectwo dojrzałości.

Zapał natomiast i miłość do wielkiej sztuki narodowej, przedewszystkiem dla poezji romantycznej obudził w uczniach starszych klas gimnazjum swemi wykładami niby to „dyletanckimi” p. delegat Konstanty Symonowicz, który w latach 1925/7 bezinteresownie zastępował nauczyciela języka polskiego.

W roku szk. 1926/7 dyrektorem był p. J. Kulinowski; w 1927—29 — inż. Kaz. Grochowski, ruchliwy działacz społeczny i znany badacz Mandżurji. Od r. 1929 znowu p. Janiszewski.

Nauczyciele, nawet etatowi, nie posiadają ściśle fachowych kwalifikacji: Ministerstwo W. R. i O. P., rozumiejąc wyjątkowe warunki i anormalne stosunki, wytwarzające się wśród wychodźstwa, zatwierdzało nauczycieli na ich stanowiskach. Z pośród ciała pedagogicznego gimnazjum na czoło wybijała się pełna samozaparcia się, od 25 lat na tem polu pracująca, p. J. Brudzeńska, świetny matematyk A. Morawski, doskonały znawca kultury klasycznej L. Wleciał.

Gimnazjum — zarówno nauczycieli, jak uczniów, jak i całe życie instytucji — ożywiały gorący duch religijny i narodowy. W roku 1924 młodzież gimnazjalna samorzutnie stworzyła związek religijny „Straż Marji”, urządziła też kilka razy do roku Akademje Marjańskie. Często też były obchody patriotyczne i „sobótki” literackie — w r. 1925 urządzono wspólny obchód ku czci Bolesława Chrobrego, w r. 1926 — 10-lecie śmierci Sienkiewicza uczczone akademją.

W latach 1923—28 funkcjonował uczniowski teatr amatorski, który odegrał dużą rolę kulturalną, zaznajamiając kolonję polską w Charbinie z „Dziadami” Mickiewicza, „Kordjanem”, „Mindowem” i „Marją Stuart” Słowackiego, z „Zamstą”, „Ślubami paniąnskimi” i Panem Jowialskim” Fredry i z szeregiem sztuk A. Asnyka.

Dziś wszystko to należy już do przeszłości.

(p. t.)

Z życia kulturalnego Francji

Bibliofilskie skarby

W dzisiejszych czasach, w których wogóle wyżyć ciężko, nie chce się wierzyć, że są jeszcze ludzie, płacący duże sumy za stare książki. A jednak są — co prawda nie w Polsce, ale gdzieś indziej. Z końcem maja odbyła się w Paryżu publiczna sprzedaż części zbiorów Henryka Beraldi.

Przedmiotem były książki, rysunki i zbiory drzeworytów z XVIII w. Kilkaście książek ilustrowanych osiągnęło cenę między 50 a 100 tysiącami franków. Za ilustracje Gravelot'a do dzieł Voltaire'a zapłacił jakiś zbieracz 105 tysięcy fr. Najwspanialszym przedmiotem, wystawionym pierwotnie na sprzedaż było wydanie bajek La Fontaine'a z ilustracjami Fragonard'a. Jest ich ponad 50, a wielki artysta wykonał je sepją w r. 1780 podczas podróży do Włoch, którą odbył jako towarzysz generalnego dzierżawcy podatków państwowych Bergeret'a. Rysunki Fragonard'a stanowią główną, ale nie jedyną wartość księgi, której tekst pisany jest ozdobnie ogromnymi literami czarnymi i czerwonymi, a oprawa pochodzi od słynnego introligatora-artysty Derôme'a. Bibliofilom śmiały się oczy do tego skarbu i niejedną zapewne był gotów kupić go na wagę złota albo i dobrze powyżej wagi złota, ale nastąpiło rozczarowanie. Księgę wycofano z wysprzedaży. Nabywają ją Rzeczpospolita Francuska, pokrywając cenę po części z budżetu, po części z prywatnych składek. Podobno wynosi ona blisko 2 miliony franków.

Rodzina książąt de Broglie

Wybór księcia de Broglie do Akademji Francuskiej zwrócił uwagę świata na arystokratyczną rodzinę, która przybyła do Francji w połowie XVII w. i o tego czasu dała przybranej ojczyźnie

trzech marszałków, dwóch premierów i szereg uczonych. Mówi się, że ma ona dziedziczne miejsce w Akademji. Nowego jej członka nie należy utożsamiać z bratem, ks. Ludwikiem Wiktoorem de Broglie, który w r. 1929 otrzymał nagrodę Nobla za badania z dziedziny fizyki. Akademik jest również fizykiem, ale zajmuje się głównie elektrycznością. Siostra obu, hrabina de Pauge, jest literatką.

Rodzina przybyła z Włoch, gdzie nazwisko brzmiało Broglia. Jego francuska forma pierwotnie wymawiała się normalnie, dziś jednak wymawia się inaczej, mianowicie tak, jakby pisała się Breuil!..

Freski z przed dziesięciuset lat

W r. 1845 znany pisarz Prosper Mérimée zwrócił uwagę Francji na cenne

malowidła ściennie w kościele opactwa Saint - Savin - sur - Gartemps na wschód od Poitiers. Pochodziły one z pierwszej połowy XI stulecia. Opactwo przestało istnieć, miejscowość spadła do rządu niewielkich wiosek — liczba mieszkańców wynosi dziś niewiele ponad tysiąc, kościół jest parafjalny. Już za czasów Merimée'go długo nienaprawiany dach przepuszczał deszcz i freski nieco ucierpiały od wilgoci. Dach przeprowadzono do porządku, lecz freski wymagają znowu restauracji, inaczej, zdaniem znawców, w ciągu lat kilkudziesięciu nie zostanie z nich śladu. Ministerjum sztuk pięknych zwróciło się do ofiarności publicznej, uzasadniając ten apel faktem, że jego budżet nie wystarcza na konserwację wszystkich francuskich zabytków, których jest bardzo dużo.

N. P.

Na uniwersytecie w Belgradzie

W uniwersytecie belgradzkim wybuchły rozruchy. Urzędowy komunikat przypisuje je propagandzie komunistycznej, natomiast biuro Reutersa odebrało studentom szeregu dawno istniejących przywilejów, i dozwoleniu policji wstępu na uniwersytet. Twierdzenie to uzasadnia faktem, że na szale strajku, który wybuchł stali synowie byłego ministra spraw zagranicznych Minnicia i Dra Krulja, osobistego przyjaciela króla Aleksandra.

Strajk przybrał formę okupowania sal wykładowych. Studenci oświadczyli, że nie ustąpią, dopóki ich żądania nie zostaną uwzględnione. Senat wysłał się, aby sprawę załatwić ugodowo i doszło wreszcie

do porozumienia. Rektor i jego zastępca dali strajkującym pisemne zapewnienie, że jeżeli rozejdą się do domów, policja pozostawi ich w spokoju.

Zanim jednak studenci powzięli postanowienie, policja wtargnęła przemocą do budynków uniwersyteckich z nalożonymi bagnętami i uwięziła 150 młodzieży płci obojga. Znaczną część trzymano w areszcie przez kilka dni.

Rektor i wicektor znaleźli się w przykrem położeniu, nie mogąc dotrzymać swego uroczystego i danego na piśmie przyrzeczenia. Wobec tego złożyli swoje godności, i prawdopodobnie całe ciało profesorskie pójdzie za ich przykładem.

O pewnej rzece Świnia

Jednej tylko rzeczy nie mogę darować Janowi Trzeciemu, a mianowicie: Odrestaurował zamek po swoim dziadku, zwierzyniec, kościół farny; ufundował cerkiew ruską (O.O. Bazylianów), synagogę; na Haraju zbudował pałacyk myśliwski; nadał miastu prawa 11. III. 1693 roku, w miejsce dawnych, spalonych przywilejów miejskich; zasadził lipy, modrzewie, białe wiśnie i brzoskwinie (listy Jana III. do Marji Kaziemierzy); wogóle, starał się jak najlepszy pan i gospodarz podnieść znaczenie tego warownego grodu Żółkiewskich i Daniłowiczów, do którego często zjeżdżał, aby odpocząć, a zarazem, aby czuć i baczyć na niespokojny Wschód... Tak, zrobił wiele, bardzo wiele, ale dlaczego, budując owe wspaniałe łazienki w kształcie półksiężyca na rzece (dziś są jeszcze ślady widoczne obok miejskiej strzelnicy w parku), o jakich z zachwytem w pamiętnikach swoich wspominali cudzoziemcy (Al. Czołowski: Dawne twierdze i zamki na Rusi halickiej: Relation dun voyage de Pologne fait dans les annes 1688 — 1689, Paris 1859), dlaczego przy tej okazji król Jan III, nie ochrzcił tej rzeki jakąś milej brzmiącą dla ucha nazwą?...

Świnia! Skąd się, na brodzie Mahomet, wzięła ta nazwa?...

Sądę, że za króla Jana III, jeszcze tej nazwy nie było, skoro niema o niej żadnej źródłowej wzmianki. Zresztą, czyż królowa Marysieńka chciałaby się kąpać w... świnie? Chyba na tyle umiała po polsku, że rozumiałaby znaczenie tego wyrazu, a tem samem miała nowy „ważny“ powód pilnowania głowy swemu „Jachniczowski“ (Wiedzielibyśmy o tem... z listów). —

Łazienki były wewnątrz i zewnątrz wykładane kaflami (Łazienki w owych czasach w Polsce dość rzadki i niesłychany komfort!). Prowadził doń most zwodzony. No, rzecz jasna, że dawna rzeka, to nie dzisiejsza, przeciwko której nazwie burzy się mój cały patriotyzm lokalny!...

Wody było w niej zapewne więcej (i to czystej...); zasilaty ją bowiem szeroko rozlewające się jeziora, o których istnieniu przekazał nam w swoich opisach z podróży do Polski przyrodnik francuski, Guethard (Memoires del'Acad. de Paris 1762): Gnieździło się w nich wszelkiego rodzaju dzikie ptactwo i bobry, co rychło uciekać musiały, wypłoszone gwarem „stołecznym“ żółkiewskiego grodu i romantycznymi przejażdżkami po jeziorze dam dworu w towarzystwie dorodnych książąt, kawalerów z zagranicy...

Biorąc pod uwagę całą historię naszego miasta, trudno jest przejść do porządku dziennego nad nazwą tej wielce niepozornej rzeki Świnia. A fakt, że jest brudna i, że od czasu do czasu na wiosnę rozlewa swoje koryto, jak każda szanująca swe obyczaje „sus domestica“, nie wyklucza, aby drogą etymologii ludowej nie można było jej wyprowadzić od tego źródła, z jakiego wypłynęła...

Rzeka Świnia, jak powszechnie wiadomo, wypływa w Nowej Skwarzawie, u stóp góry, łagodnie opadającej z grzbietu Roztocza i przepływa łączką na Horaniu, t. j. we wschodniej części Nowej Skwarzawy, którą zwa tam Śwynną, Świnia...

A zatem, stara historia, że lud najwerniej przechowuje nietylko szczątki dzimnego budownictwa, ale i to, co w języku swoim stworzył.

Aby jednakże dojść do sedna sprawy,

musimy koniecznie zahaczyć o wieś Winniki (pow. Żółkiew) i cofnąć się daleko wstecz, po czasy panowania Węgrów na Rusi, t. j. do Ludwika Węgierskiego i Władysława Opolskiego. Prawdopodobnie w ślad za urzędnikami, kupcami, górnikami (ślady wpływu prawa węgierskiego w prawie polskim górnictwem: Prawo prywatne polskie: Prof. Dr. Przemysław Dąbkowski), pociągnęli i winiarze węgierscy do Polski na Ruś, zakładając osady i dając początek uprawie wina, która bardzo pomyślnie rozwijała się do połowy XV. w. (Wiadomo, że w tym czasie znani byli winiarze ze Lwowa, na Kleparowie i Łyczakowie, którzy rok — rocznie setki beczek wina wytłaczali.) Przemysł winiarski upadł dlatego, ponieważ rozwinęła silnie swoją konkurencję tańsza i wymagająca mniej nakładu fabrykacja piwa. (Piwo żółkiewskie sławne było w XVII.)

Nazwa Winnik zapisana jest już w 1398 roku jako bogata wieś (Rękopis kościoła w Kulikowie). Nazwa jej pochodzi prawdopodobnie stąd, że ongiś mieszkańcy jej zajmowali się uprawą wina. Do dziś jeszcze mamy dobrze zachowaną piwnicę u stóp Haraju, która za czasów Jana III, służyła jako legarnia wina.

Zaś rzekę, opływającą te wzgórza, na południowych stokach obrosłych winogrodem, z tej racji, że z winnic wypływała: Z-winna, S-winną nazwano (winnowinnice w gwarze ludowej). Z biegiem czasu przekształciła się ta nazwa w języku polskim w bardziej wygodną dla wymowy przez zmiękczenie spółgłoski s na ś, w Świnę, a poprostu Świnie...

Mógłby ktoś postawić takie pytanie: jeżeli jest rzeka Wieprz, to dlaczego nie może być dla towarzystwa rzeka Świ-

nia? Słusznie! Nie mam nic przeciwko temu. Ale czemu akuratnie ta Świnia ma opływać Żółkiew, którą założył hetman Stanisław Żółkiewski, na miejscu tych dawnych Winnik, które po dziś dzień pozostały w północnej części jakiegoś wsi zachowując swoją nazwę?

Tego to już nie wiem i pogodzić się z tem nie mogę, skoro jest tyle danych aby mogła nazywać się inaczej.

Inaczej, abyśmy bez zażenowania mogli powiedzieć nad jaką to rzeką leży nasze miasto, ten nasz stary warowny gród, który w murach swoich gościł królów i wysokich dostojników...

Możliwe, że ktoś powie, iż przemennie tylko fałszywy wstyd i fałszywa „lokalna ambicja“ przemawia. Nie o mnie tu chodzi, ale o dostojęństwo naszej Żółki, która przecież w sercu swoim kryje kości sędziwego bohatera z pod Cecory, które na nagrobku we farze przekazały posłannictwo dziejowe królowi Janowi III.: „Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor“.

Eugenja Bochnówna.

Nowe pole pracy dla nauczycieli

Każdego, kto się interesuje bliżej zagadnieniami radiofonji, jej rozwojem i stanem obecnym, musi uderzyć fakt nieproporcjonalnego stosunku pomiędzy ilością radiostuchaczy w okręgach miejskich i okręgach wiejskich.

Ten stan rzeczy, dający się wytłumaczyć całym szeregiem przyczyn, wydaje się na pierwszy rzut oka dziwnym i niezrozumiałym. Przecież kto jak kto, ale właśnie mieszkańcy wsi, oddaleni od środowisk kulturalnych, powinni goręcej pragnąć dobrodziejstw radia, niż mieszkańcy miast, rozporządzający teatrami, koncertami i t. d.

Zdumienie wzrasta, gdy się okazuje, że częstokroć nie posiada aparatów radiowych i nie interesuje się radiofonją nauczycielstwo prowincjonalne, nauczycielstwo ludowe, które z natury rzeczy jest pionierem kultury i jej doniosłych zdobyczy wśród swego otoczenia.

Znaczenie radia dla nauczyciela, zarówno w jego życiu prywatnym jak i w nauczaniu jest bardzo doniosłe.

Przedewszystkiem w życiu prywatnym. Nikt nie może stwierdzić, że wykształcenie jego jest zakończone — przeciwnie, każdy człowiek prawdziwie wykształcony czuje coraz silniejszy pęd do dalszego kształcenia się, które staje się konieczne zwłaszcza dla nauczyciela, owego kierownika duchowego dzieci i młodzieży. Radio daje mu wiadomości naukowe w formie możliwie zwięzłej, skondensowanej za pośrednictwem odczytów i pogadanek. Mamy tu pięć zasadniczych grup:

Grupa I.: Humanistyka. Obejmuje ona historię, literaturę, naukę języków obcych, prawoznawstwo, filozofię, sztukę i muzykę.

Grupa II.: Nauki ścisłe. Obejmuje ona odczyty z dziedziny przyrodoznawstwa, geografii, matematyki, astronomii oraz ludoznawstwa.

Grupa III.: Nauki stosowane. Obejmuje ona odczyty z dziedziny ekonomii, krajoznawstwa, pedagogiki, medycyny, oraz rolnictwa hodowlanego i właściwego, ogrodnictwa i pszczelnictwa.

Grupa IV.: Różne. Obejmuje ona odczyty z zakresu lotnictwa, wojskowości, techniki, radiotechniki, polityki, sportu i wychowania fizycznego, podróżnictwa, odkryć i wynalazków, oraz odczyty popularne o rozmaitej treści ogólnokształcące.

Grupa V.: Pogadanki. Obejmuje ona stałe pogawędki z aktualnych dziedzin życia, jak omawianie książek, kącik dla kobiet, kącik dla panów, radiokronikę, skrzynkę pocztową, rolniczą skrzynkę itd.

Wśród liczego materiału odczytów i pogadanek każdy nauczyciel znajdzie audycje odpowiadające swemu zawodowi, ponadto będzie mógł uzupełniać bez przerwy swe dalsze wykształcenie za pomocą odczytów z innych grup.

Najważniejsza — dla każdego nauczy-

ciela będzie grupa odczytów poświęconych pedagogice, a więc: najnowszym metodom nauczania, systematyce pracy pedagogicznej itd.

Poza wykształceniem własnym, dalsze korzyści płynące z radia dla nauczyciela i jego rodziny będą następujące:

Dla ojca: wykształcenie zawodowe, wiadomości giełdowe, wiadomości codzienne (prasowy Dziennik Radiowy), komunikaty Polskiej Agencji Telegraficznej, wiadomości sportowe i t. p.

Dla matki: pogadanki i porady dotyczące gospodarstwa domowego i wiejskiego, informacje dotyczące cen rynkowych, różne zagadnienia kobiece, wychowanie dzieci i t. p.

Dla dzieci: Słuchowiska dziecięce, bajki, pogadanki i specjalne koncerty dla dzieci.

Ogólne: Higiena domowa i ogólna, odczyty ogólnokształcące i t. d.

Znaczenie wypoczynkowe i rozrywkowe radia przedstawia się następująco: I. Muzyka: Koncerty zespołowe (orkiestralne, kameralne, choralne) śpiew solowy, koncerty solowe instrumentalne, opery, operetki, muzyka taneczna.

II. Literatura: Słuchowiska, transmisje z teatrów dramatycznych i rewjowych, kwadrans literackie, recytacje i poetyckie.

III. Różne: Transmisje okolicznościowe.

Ogólnie więc radu zawdzięczamy wykształcenie, rozwijanie poziomu kulturalnego, uzyskujemy dzięki niemu wypoczynek i rozrywkę po pracy.

Jak rozległą skalę wrażeń daje nam radio? Poza najrozmaitsze wrażenia natury muzycznej, od najpoważniejszych do najweselszych mamy materiał odczytowy, interesujący zarówno ojca, matkę jak i dzieci. Nuda pierzcha z domu, w którym znajduje się radioaparat. Za jego pośrednictwem płynie ku nam z szerokiego świata potężny, pulsujący prąd życia i łączy każdą najbardziej oddaloną miejscowość z całym światem.

Należy tu dodać, że nauczyciel ludowy przez oddanie swego aparatu na usługi wsi, staje się pionierem radiofonji, a co zatem idzie — kultury w całej okolicy.

Początkowo otoczenie słuchać będzie audycji radiowych przez ciekawość, potem nabierze do nich przekonania, wreszcie ten i ów, stwierdziwszy korzyści, płynące z radia, nie omieszkają założyć sobie własny odbiornik. Tym sposobem nauczyciel przyczynia się również do korzystania przez ludność z dobrodziejstw płynących z radiofonji rolniczej.

Radiofonja rolnicza daje audycje, mające na celu dostarczenie ludności rolniczej jaknajwiększej ilości wiadomości praktycznych i teoretycznych z zakresu gospodarstwa domowego i wiejskiego, sprowadzają się one od odczytów i pogadanek według następującego schematu: Rolnictwo właściwe — nasiennictwo, hodowla bydła, drobiu, nawiżenie, ogrod-

nictwo, leśnictwo, rybołówstwo i hodowla ryb, zwalczanie szkodników, informacje giełdy rolniczej, skrzynka rolnicza, komunikaty gospodarcze, komunikaty meteorologiczne i porady ogólne.

Jak z powyższego wynika, zadanie nauczyciela ludowego jest specjalnie doniosłe i odpowiedzialne; powinien on, jeśli naprawdę nie są mu obce uczucia społeczne, dodawać ludności rolniczej bodźca do zainteresowania się radiofonją rolniczą i korzystania z jej dobrodziejstw.

W dziedzinie zastosowania radia w nauczaniu szkolnym nauczyciel ma drogę otwartą.

Zasada jego polega na zainstalowaniu w klasie, lub też w klasach radioodbiorników, zapomocą których uczniowie mogliby słuchać odczytów szkolnych, pogadanek i koncertów, transmitowanych w godzinach normalnych zajęć.

Byłoby niezwykle pożądanem, aby możliwie największą ilość szkół prowincjonalnych i wiejskich mogła się zdobyć na zainstalowanie radioaparatów dla odbierania specjalnie nadawanych audycji szkolnych. W miarę wzrostu radiofonji szkolnej Polskie Radio, licząc się z konkretnymi dądaniami, starałoby się dążyć, podobnie jak w Niemczech i Anglii, do stworzenia jednolitego planu wykształcenia młodzieży szkolnej, skoordynowanego odpowiednio z godzinami zajęć i dającego wymagany przez szkoły radiowy materiał uzupełniający, którego szkoły wiejskie nie byłyby w stanie dać swoim uczniom.

W oczekiwaniu tych dobrych czasów należy w tej chwili życzyć, aby nauczycielstwo polskie, szczególnie ludowe, doceniając wysiłki radiofonji polskiej w kierunku rozwoju szkolnictwa, dopomogło jej ze swej strony przez utrwalenie wśród uczniów i mieszkańców okolicy korzyści, płynących ze słuchania radia.

F.

Nowy sposób leczenia oparzeń

Lekarz rosyjski dr. Korytkin - Nowikow stosuje przy leczeniu cięższych oparzeń II i III stopnia roztwór spirytu sowy „Zieleni Brylantowej“ (Brilliantgrün - oxaloh), uzyskując tą metodą doskonałe wyniki.

Zieleń ta, w rozcieńczeniu 1 : 50 tysejcy hamuje rozwój wszelkich bakterij ropnych, nie drażni tkanek i nie ma własności trujących.

Wielką zaletą tej metody jest ponadto możliwość leczenia otwartego rany, bez zakładania opatrunków, drażniących powierzchnię rany. W kilkudziesięciu wypadkach ciężkiego oparzenia naftą, wrzącą wodą i rozpalonym żelazem leczenie miało przebieg zupełnie korzystny.